

Dr. T. Gluziński

Pędziszem na południe

XVIII

Już rano jesteśmy w samochodzie. Od Monachium dzieli nas tylko 25 km. Porzucamy Starnberg, by zaoferować czas na zwiedzenie bawarskiej stolicy.

Po paru kilometrach dostrzegamy na szosie olbrzymią kurawę. Za chwilę poczynają nas mijać motocykle jeden po drugim. Motocyklowy oddział Reichswehry. Dziesiątki, setki. A wśród nich na motocyklach oficerowie włoscy.

Znowu manifestacja na utrwalenie osi Berlin - Rzym. Jakiś do stożnik wojskowy włoski składał widocznie w Niemczech wizytę i obecnie odprowadzają go z Monachium do granicy.

Nasza biała - czerwona chorągiewka na przedzie samochodu zwraca uwagę. Szczególnie Włosi interesują się nią i mijając, pokazują jeden drugiemu. Jedziemy wolno i przyglądamy się kilometrowemu sznurowi motocyklistów. Z oddali spostrzegliśmy włoskiego dostojnika w samochodzie, eskortowanego przez samochody niemieckie. Gdy miał nas wyminąć, Władek nagłym ruchem przytknął do szyby przedniej metalowy znak automobilowy, który uprzedził nas do jazdy po Włoszech.

Ta demonstracja sympatii polsko-włoskich została zrozumiana w lot. Dostojnik w tej chwili wyciągnął ku nam rękę z pozdrowieniem faszystowskim, wychyliwszy się nieco z wozu.

Potem już z wielką szybkością przebywamy przedmieścia Monachium. Osiemsettyścinne miasto ciągnie się bez końca. W okolicy ratusza parkujemy auto. Trzeba choć trochę pojechać.

Podchodzimy do figury Matki Boskiej, wzniesionej przez kurfirystę Maksymiliana I na pamiątkę pogromu wojsk czesko-husyckich pod Białą Górą (1620 r.) i wchodzimy w podwórza olbrzymiego, nowego ratusza, zbudowanego przed kilkudziesięciu laty. Daleko ciekawszy jest opodal znajdujący się stary ratusz, pochodzący z XV w.

Następnie zbliżamy się do wspólnie, późnogotyckiej Frauenkirche, wzniesionej w XV w. której dwie wieże, widoczne zdaleka, tak nadają piękno Monachium, jak wieże Panny Marii na szczytach Krakowa. Wewnątrz, którego nastroju potęgują stare witraże, znajduje się grób cesarza Ludwika Bawarskiego z XIV wieku.

Oglądamy jeszcze kościół św. Michała, o imponującym ogromem wnętrza, który do ostatnich

czasów stanowił kościół pogrzebowy dynastii Wittelsbachów. W podziemiach spoczywa tutaj 25 królów bawarskich z tej dynastii. Leży tutaj także Ludwik bawarski, znany, jako jeden z wodzów niemieckich z okresu wojny światowej.

Na zabytki nie mamy więcej czasu, zwiedzamy jeszcze Monachium dzisiejsze, tę kolebkę narodowego socjalizmu. Oto olbrzymia piwiarnia, t. zw. Hofbräuhaus, w którego reprezentacyjnej sali w d. 24 lutego 1920 r. Hitler proklamował program narodowego socjalizmu. Sale natłoczone dziś tłumami szarych ludzi, pleci obojga, spożywających pospiesznie południowy posiłek.

I my po obiedzie, popartym czarnym bawarem, czujemy się pokrzepieni. Wracamy do samochodu i objeżdżamy miasto. Przyglądamy się znanej Feldherrnhalle. Zatrzymujemy wóz w pobliżu placu królewskiego, który już za ery narodowo-socjalistycznej uległ wspaniałej przebudowie.

Podchodzimy pieszo. Tutaj mieszczą się w olbrzymich, monumentalnych budynkach centra partii narodowo-socjalistycznej na całe Niemcy. Pośrodku, jakby dwie greckie świątynie, znajdują się groby pierwszych 16 ofiar ruchu narodowo-socjalistycznego. W każdej z tych świątyń spoczywa ich ośmiu. Na grobach imiona ich i nazwiska i krótkie: „meldet sich hier“ („zgłasza się tutaj“). Po śmierci stają na wezwanie.

Nad grobami w obu świątyniach czuwa nieruchomo po dwóch szturmistów w mundurach i kaskach bojowych. Publiczność wchodzi po stopniach kamiennych bez kapeluszy i rozmawia szeptem.

Zmiana warty. Z uderzeniem godziny, jakby automaty, wychodzą naraz z kilku bram żołnierze. Schodzą się parady marszem i tworzą oddział. Następnie komendant luzuje wartowników i nowi dwaj stają na ich miejscu, jak zamarli. Cicha komenda i oddział odchodzi parady marszem.

Na nasze zapytanie, oficer pozwala nam sfotografować świątynie. Wogóle nikt tutaj nie krępuje obcych. Zbliżamy się do słynnego brunatnego domu, dawniej siedziby partii narodowo-socjalistycznej i oglądamy go z wewnątrz. Zaraz pojawia się ktoś umundurowany i zaprasza do wnętrza.

Wchodzimy i oglądamy setki

sztandarów partyjnych, umieszczonych w westybulu na pamiątkę Okalają popiersie, przedstawiające jakiegoś męża w starszym wieku z wąsami. Twarz wy daje się nam nieznaną.

Kogo przedstawia popiersie? — pytamy stojącego obok szturmowca.

Na twarzy jego odmalowało się zdumienie. Jak można nie wiedzieć? Wzruszył ramionami.

— Ależ to Bismark! — wykrzyknął.

Wiedziałem, jakiej czei zażywa w dzisiejszych Niemczech twórca cesarskich Niemiec, żelazny kanclerz. Ale żeby aż w westybulu brunatnego domu, otoczony historycznymi sztandarami narodowego socjalizmu!

Trudno nam było oddzielić postać zjednoczyciela Niemiec od osoby tego, który proklamował wobec Polaków politykę wyniszczenia, zaś wobec Kościoła katolickiego zastosował akcję Kulturkampfu. I istotnie tutaj w Monachium, w centrum niemieckiego ruchu katolickiego, tak symbolicznie uczczona postać żelaznego kanclerza musi wywoływać uzasadnione obawy. Obawy przed powrotem tej przeszłości, którą historia Europy nazwie zapewne epoką Bismarcka.

Zmierzamy do samochodu. Po południowej godzinie każe nam jechać dalej. Im bliżej Polski jesteśmy, tym bardziej nam pilno. Przez długie przedmieścia Monachium wpadamy na szosę. Chcemy jeszcze zawrócić o Regensburg.

Gdzieś na północnym zachodzie huca burza. Słońce doskwiera i zdaje się zapowiadać kataklizm atmosferyczny, który mógłby nam utrudnić podróż. Wiele wyrwy.

Po 70 kilometrach mijamy Landshut i stajemy na placu, by rozjechać się w kierunku dalszej drogi. Odrzuca zbliża się do nas jakiś przechodzień i pyta o narodowość i cel jazdy. „Polacy“ — stwierdził z uprzejmym uśmiechem i wskazał nam drogę. Był to zwykły przechodzień.

Znowu ponad 70 km. do Regensburga. Burza ciągle awanturowuje się w pobliżu, ale nas wymija. Jedziemy teraz wzdłuż Dunaju. Niewielki on tutaj, ale już za powiada, że urośnie niebawem w potężną rzekę. Po wspaniałym moście wjeżdżamy do Regensburga. Stajemy przed katedrą.

Jest to arcydzieło bawarskiego gotyku. Pyszne, rzeźbione portale, a wewnątrz cudowne witraże. Obok świątyni średniowiecznych krużganki i sale pałacu biskupa.

piego, gdzie wielokrotnie gościli cesarze niemieccy i starożytna brama, dawna porta praetoria warownego obozu rzymskiego. W Regensburgu bowiem był jeden z największych obozów warownych legionów rzymskich.

Nagle dosięgnął nas ulewny deszcz. Chronimy się, jak niepiśmi, w jakiejś piwiarni. Ledwo ustał, walimy dalej. Chcemy na noc dotrzeć do Hofu.

Droga teraz górska i kręta i pozostawia wiele do życzenia. Zbliżyliśmy się do granicy czesko-słowackiej, a tu już zapada mrok. Jakby dla ostrzeżenia spotykamy po drodze rozbitą pociąg osobowy, złożony z trzech wagonów. Tak silnie pierwszy wóz uderzył w drzewo, że olbrzym wyrwany został z korzeniami. Wóz rozbity, a szofer konający odwieziony został do szpitala.

Musimy pędzić, bo późno. Ani spostrzegaliśmy się, jak od Regensburga odwaliliśmy 125 km. Stąd tylko 17 km. do Eger, po stronie czeskosłowackiej. Już w nocy jedziemy dalej. Zmęczeni dzisiejszym dniem po sześćdziesięciu kilometrach dobiegamy do Hofu i około północy wśród ulewy odszukujemy hotel. Tu punkt węzłowy naszej drogi. Przejeżdżaliśmy tędy przed trzema tygodniami z Drezna do Bambergu.

Jutro postaramy się podesunąć jaknajbliżej do polskiej granicy.

Z Opery Ludowej

„Flisa”

Zbliżająca się 80-tą rocznicę (24 września) pierwszego wystawienia „Flisa” w Teatrze Wielkim, uczciła Opera Ludowa w porozumieniu z Polskim Radio, uroczystym przedstawieniem, które odbyło się w „Teatrze na Wyspie” w Łazienkach. Napisał tę jednoaktową, komijną operę Moniuszko w Paryżu, w r. 1858.

Akcja rozgrywa się nad brzegiem Wisły pod Warszawą. Rozpoczyna się zbiorową modlitwą mieszkańców wsi nadbrzeżnych, którzy dziękują Stwórcy za odwróceną klęskę powodzi. Córka Antoniego, Zosia, płacze, trapiąca jak najgorszymi myślami o los ukochanego Franka, flisaka, który na galarze popłynął do Sandomierza. Z rozmowy między Antonim a Feliksem dowiadujemy się, że rękę swej jedynaczki przyrzekł już zamężnemu fryzjerowi z Warszawy, Jakubowi. Toteż, po szczęśliwym po wrocie Franka do domu oznajmia mu kategoryczne swe postanowienie. Zrozpaczony flisak w chwili pożegnania wspomina o zaginionym bracie.

SZKOŁA **POWSZECHNA** **W SWIDRZE**
7-KL. PRYWATNA SZKOŁA POWSZECHNA P. W. SW. JERZEGO
W SWIDRZE uczy i wychowuje młodzież w idealnych warunkach zdrowotnych. Opłaty b. przystępne. **TEL. OTWOCK 5482**

Teodor Axentowicz

Zmarły w Krakowie malarz ś. p. Teodor Axentowicz był jednym z najznakomitszych malarzy i pedagogów współczesnych.

Urodzony 13 maja 1859 r. w Brasowie w Siedmiogrodzie. Gimnazjum kończy we Lwowie. Przenosi się później na stałe do Krakowa, skąd tylko na stosunkowo krótkie okresy czasu często wyjeżdża zagranicę, m. in. do Paryża i Londynu.

Wykształcenie artystyczne otrzymał ś. p. Teodor Axentowicz w Monachijskiej Akademii Sztuk Pięknych, gdzie pracował pod kierunkiem Benzura i Wagnera. Wiedzę malarską dopełnił ostatecznie w Paryżu u Durana. Jest to okres żywego zainteresowania się artysty zagadnieniami i bolączkami emigracji polskiej we Francji, z którą Axentowicz pozostawał w kontakcie.

W 1895 r. ś. p. Teodor Axentowicz zostaje profesorem Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych i na tym stanowisku zastała go śmierć. Przez krótki okres Axentowicz jest dziekanem i rektorem uczelni, ale ten fragment jego życia nie absorbował go zbyt, ani jako malarza, ani jako nauczyciela.

Czas największej dynamiki twórczej i najsilniejszego zainteresowania życiem artystycznym przypadł na pomatejkowski rozkwit środowiska krakowskiego. Teodor Axentowicz wspólnie z Janem Stanisławskim, Józefem Mehofferem, Stanisławem Wyspiańskim, Józefem Chelmońskim, Jackiem Malczewskim, Leonem Wy-

czółkowskim i Włodzimierzem Tetmajerem zakładają towarzystwo artystów pod nazwą „Sztuka”.

„Sztuka” pulsuje żądzą pchnięcia twórczości polskiej na lepsze tory. Swoją żywotnością i trzeba przyznać głębokim wrośnięciem korzeni w polskie społeczeństwo i polskość — zdolna beznadziejnie zachwyczyć grunt wypłenioną i przeorać. Jej twórcy, i odgrywający między nimi niepoślednią rolę dzięki swemu talentowi malarskiemu i zmysłowej organizacyjności, ś. p. Teodor Axentowicz, są do dzisiaj drogowskazem, jak można i należy swoje możliwości z pożytkiem społecznym wykorzystać.

Ś. p. Teodor Axentowicz nie był pięknoduchem. Pozycję miał w sztuce dużą, ale ta zmuszała go tylko do tym rzetelnějších wysiłków. To też Axentowicz — profesor pozabawiony zupełnie spotykanego tak często u artystów, którzy wielkie sukcesy w życiu zdobyli — kwitetyzmu, mógł być swoim uczniom nie tylko mentorem w sprawach obserwacji natury, kompozycji i techniki malarskiej, ale żywym przykładem — jak tworzyć należy.

Axentowicz pozostawił po sobie ogromny dorobek malarski. Z pierwszych jego utworów należy wymienić „Kapitulację Wüzburga”, „Pogrzeb na Rasi” i „Poselstwo polskie u Henryka Walezego”.

Później maluje sceny z życia Huculów, znakomitą kolekcję portretów kobiecych, z których najlepszymi bodaj są portrety hr. Działynskiej, Sary Bernhardt i portret żony. Z tych czasów pochodzą świetne portrety: ks. Sapiehy, ks. Czartoryskiego i arcyksięcia Karola Stefana.

Poza tym z prac, które cieszyły się największą popularnością, zasługują na uwagę: „Pogrzeb huculski”, „Święto Jordana”, „Świecenie wody” i „Oberek”.

Ś. p. Teodor Axentowicz dobrze znany nam z wystaw warszawskich, pozostawił po sobie i pośród artystów i pośród publiczności, która przyjmowała go zawsze tak życzliwie — szczerzy żal.

Jerzy Stokowski

lepszym z solistów był bezwzględnie p. Cezary Kowalski. Fryzjer Jakób stanowił będzie jedną z niezapomnianych kreacji tego świetnego artysty. Pp: Mikołaj Winel, Michał Zagraj i Józef Kalinowski uzupełniali obsadę.

Dopelnieniem wieczoru były dwa jednoaktowe balety: „Wesle na wsi” Stefana i „Bajka” Moniuszki.

Amatorskie chóry Opery Ludowej wypadły wyjątkowo dobrze. Orkiestra Polskiego Radia — ponad wszelkie pochwały.

Przy pulpiciu kapelmistrzowski p. Sylwester Czołnowski.

Bolesław Lewandowski

B. HOFMANN

30)

NIEJAKI PAN DE KATT

Powieść współczesna

Autoryzowana adaptacja Eugeniusza Baluckiego.

Do antykwiariatu Fokinga w Amsterdamie, gdzie przechowywano rzeczy pozostałe w spadku po kapitanie Kai Kragu, przetranszowane na licytację, dokonano, zagadkowego włamania. Nic nie zginęło.

— Dlaczego na mnie tak patrzysz? — zapytała nieco podrażniona.

— Dobrze ci, Nelly, w tym prostym angielskim stroju.

Wypił duszkiem filiżankę czarnej kawy.

— O czymże mam myśleć, jak nie o tych fatalistkach?! — wtrąciła kąśliwie. — Zdaje się, ty też nie masz żadnych trosk!

— Nie — stwierdził niewzruszenie stawiając pustą filiżankę na niskim stoliku.

Usiadła obok i spod na pół opuszczonych rąk obrzuciła go przelotnym badawczym spojrzeniem.

Zdawało się, że tego nie spostrzegł. Zapalił cygaro.

— No, Nelly, opowiadaj.

— Chodziła do tego profesora, do van Kostena...

— O...! — przerwał z wyraźnym zdumieniem. — Kiedy to było?

— Wkrótce potem, jakżeś się pożegnali. Wszedłam do kawiarni naprzeciwko hotelu „Carlton”, zajęłam stolik przy oknie i zaczęłam obserwować. Ten Akuba... czy jak się tam nazywa... nosi taką samą czarną pelerynę, jak Haile Selassie i w ogóle wygląda na Abisjńczyka.

— Tak — wtrącił de Katt. — I co dalej?

— Wsiadł do samochodu i odjechał... ale powiedziałeś, ahy się nim nie zajmowała.

— Słusznie. Prosiłem, aby zwrócić całą uwagę na jego rzekomą siostrzenicę.

— Tak też i zrobiłam. Zaraz po Akubie ukazała się ta kobieta. Poszła pieszo, ja za nią. Potem ona wstąpiła do fryzjera. No, myślę sobie, teraz dopiero będę ładnie wyglądać! Nie mogła uczesać się w hotelu?!... Nie pozostało mi nic innego, jak za nią podążyć.

De Katt spojrzął na jej uczesanie i skinął głową.

— Dobry fryzjer...

— Tak — potwierdziła Nelly, — ale bardzo drogi.

— Kto był wcześniej gotowy?

— Ja. Prosiłam, by mnie uczesał prosto i nie rażać.

— Doskonale, właśnie tak ci najwięcej do twarzy.

Nelly uniosła wysoko brwi, potem wzruszyła ramionami.

— Może... ludzie mają różne gusty. Szkoda jednak, że nie widziałeś pani van Straaten — bajecznie wyglądała, gdy wyszła z kabiny! Wiesz, ta kobieta jest nieprawdopodobnie piękna.

— Wiem — przyznał de Katt. — Co dalej?

— Wsiadła do taksówki, ja też. Pojechaliśmy na Rembrandt Plein. Van Straaten wysiadła i weszła do willi. Dowiedziałam się, że tam mieszka profesor van Kosten.

De Katt wstał, zbliżył się powoli do okna.

— Czy długo tam bawiła?

— O, długo! Dobre pół godziny spacerowałam po placach... Czego wyglądałaś ciągle na ulicę?

De Katt spuścił roletę.

— Weninga tu musi być.

— Czekasz na niego? — zapytała przestraszona.

— Nie — odparł spokojnie — raczej on na mnie. Podniosła się powoli.

— Słuchaj, Weynand, co to wszystko ma znaczyć?

Odwrócił się do niej bokiem, strzepnął popiół do popielniczki.

— Chodzi mu o wyjaśnienie pewnego nieporozumienia — oświadczył niedbale. — Żałuję mocno, ale teraz muszę mu odmówić tej grzeczności.

— Może byłoby lepiej, gdybyś znikł na jakiś czas? Potrząsnął głową.

— Nie... No, mów dalej! Dokąd ona poszła?

— Tą samą drogą wróciła do hotelu. I wyobraź sobie: ona się zbliża do „Carltonu”, a w tym samym momencie z hotelu wychodzi Rottwijn. Stała przed jakąś wystawą, ale Rottwijn nie spostrzegł jej widocznie, bo się oddalił w innym kierunku.

— Aha!... — rzekł przeciągle de Katt. — Z początku był w hotelu, a stamtąd udał się do Leeuwa.

— Skąd wiesz?

— Sam mi powiedział. Wpadłem do Leeuwa zaraz po odejściu Rottwyna.

Zbliżyła się, położyła mu dłoń na ramionach, podniosła przestraszona oczy, które zwilgotniały nagle.

— Co Leeuw opowiadał Rottwijnowi?

— To, co wiedział, kochane dziecko, nic więcej.

— Czy mówił, żeście razem wyszli z baru, ty i Stanton?

— Oczywiście.

— O, Boże... — jęknęła przykładając dłoń do ust. — Więc teraz policja ciebie szuka?

— Prawdopodobnie.

Popatrzył na Nelly, lecz jego spojrzenie było jak zawsze zagadkowe. Potem po jego twarzy przesunął się łagodny uśmiech, w którym można było dostrzec dużo czułości i współczucia. Znowu podeszedł do okna i lekko uchylając gęstą firankę, rzucił okiem na przeciwny chodnik.

— Co jeszcze mówił Leeuw? — podjęła Nelly.

— Leeuw? — powtórzył de Katt. — Widzisz, moje dziecko, nieraz ludzie dopiero po pewnym czasie przypominają sobie szczegóły jakiegoś wydarzenia... — Nagle mruknął: — Hm... zjawił się Rottwijn... — Odwrócił się pośpiesznie. — Zobaczymy się wkrótce, Nelly.

(D. c. n.)